



BERNARD  
*Cornwell*

WOJNY  
WIKINGÓW  
TOM X



STRAŻNIK  
OGNIA



WOJNY  
WIKINGÓW  
TOM X

STRAŻNIK  
OGNIA



B E R N A R D  
*Cornwell*

STRAŻNIK  
OGNIA

TEUMACZENIE  
ANNA DOBRZAŃSKA

  
**OTWARTE**  
KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *The Flame Bearer*

Copyright © Bernard Cornwell 2016

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Otwarte 2019

Copyright © for the translation by Anna Dobrzańska

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Malocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

Grafika przedstawiająca kruki: © 2013 Janice Duke

ISBN 978-83-7515-566-2



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*Książkę tę dedykuję Kevinowi Scottowi Callahanowi*  
*(1992–2015)*

*Wyrð bið ful ārcæd*  
Przeznaczenie jest wszystkim

## SPIS TREŚCI

NAZWY GEOGRAFICZNE / 9

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Król* / 13

CZĘŚĆ DRUGA

*Zasadzka* / 73

CZĘŚĆ TRZECIA

*Szalony biskup* / 195

CZĘŚĆ CZWARTA

*Powrót do Bebbanburga* / 317

EPILOG / 395

NOTA HISTORYCZNA / 403

## NAZWY GEOGRAFICZNE

W czasach anglosaskich sposób zapisu nazw geograficznych cechowała pewna dowolność – brakowało konsekwencji w pisowni, a nierzadko nawet zgody co do samej nazwy. I tak na przykład Londyn często określany był mianem Lundenii, Lundenbergu, Lundenne, Lundene, Lundenwicu, Lundenceasteru, a także Lundres. Bez wątplenia znajdą się czytelnicy, którzy będą zwolennikami innych wariantów nazw aniżeli te, których zdecydowałem się użyć w powieści\* i których wykaz zamieszczam poniżej. W swoim wyborze kierowałem się zazwyczaj pisownią zaproponowaną w *Oxford Dictionary of English Place-Names* lub w *Cambridge Dictionary of English Place-Names* dla okresu przypadającego na lata panowania Alfreda, to jest 871–899. Mam jednak pełną świadomość, że nawet ta strategia czasami okazywała się zawodna. Na przykład nazwa Hayling w 956 roku zapisywana była zarówno jako Heilincigae, jak i Haeglingaiggae. Przyznaję, że i ja nie zawsze byłem wierny przyjętemu kluczowi: woląłem posługiwać się nazwą

---

\* Z uwagi na funkcjonujące spolszczenia w tłumaczeniu postanowiono posługiwać się współczesnym terminem Londyn zamiast proponowanego przez autora Lundene. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Northumbria zamiast Nordhymbraland, by uniknąć posądzenia o to, iż sugeruję, że granice tego historycznego królestwa były zbieżne ze współczesnymi granicami hrabstwa Northumberland. Dlatego prezentowaną tu listę nazw – jak i samą ich pisownię – cechuje swoista kapryśność.

AETGEFRIN	Yeavinger Bell, hrabstwo Northumberland
ALBA	historyczne królestwo obejmujące większą część dzisiejszej Szkocji
BEAMFLEOT	Benfleet, hrabstwo Essex
BEBBANBURG	zamek Bamburgh, hrabstwo Northumberland
BEINA	rzeka Bain
CAIR LIGUALID	Carlisle, Kumbria
CEASTER	Chester, hrabstwo Cheshire
CIRRENCEASTRE	Cirencester, hrabstwo Gloucestershire
COCUEDES	wyspa Coquet, hrabstwo Kent
CONTWARABURG	Canterbury, hrabstwo Kent
DUMNOC	Dunwich (dziś w większej części zabrane przez morze), hrabstwo Suffolk
DUNHOLM	Durham, hrabstwo Durham
EOFERWIC	York, hrabstwo Yorkshire (pod rządami duńskimi przemianowany na Jorvik)
ETHANDUN	Edington, hrabstwo Wiltshire
GEWAESC	The Wash (estuarium i zatoka na wschodnim wybrzeżu Wielkiej Brytanii)
GODMUNDCESTRE	Godmanchester, hrabstwo Cambridgeshire
GRIMESBI	Grimsby, hrabstwo Lincolnshire
GYRUUM	Jarrow, hrabstwo Tyne and Wear
HORNECASTRE	Horncastle, hrabstwo Lincolnshire



HUNTANDON	Huntingdon, hrabstwo Cambridgeshire
LEDECESTRE	Leicester, hrabstwo Leicestershire
LINDCOLNE	Lincoln, hrabstwo Lincolnshire
LINDISFARENA	Lindisfarne (Holy Island – Święta Wyspa), stanowi część hrabstwa Northumberland
MAELDUNESBURH	Malmesbury, hrabstwo Wiltshire
STEANFORD	Stamford, hrabstwo Lincolnshire
STRATH CLOTA	Strathclyde, historyczne królestwo w południowo-zachodniej Szkocji
SUMORSAETE	hrabstwo Somerset
TINE	rzeka Tyne
USE	rzeka Ouse (Northumbria), także Great Ouse (Anglia Wschodnia)
WAVENHE	rzeka Waveney
WEALLBYRIG	fikcyjna nazwa fortu na Wale Hadriana
WIIRE	rzeka Wear
WILTUNSCIR	hrabstwo Wiltshire
WINTANCEASTER	Winchester, hrabstwo Hampshire

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

# **KRÓL**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wszystko zaczęło się od trzech statków.

Teraz były cztery.

Trzy statki przybiły do wybrzeży Northumbrii, kiedy byłem dzieckiem, i kilka dni później mój starszy brat nie żył, kilka tygodni później mój ojciec podążył jego śladem, mój stryj ukradł moją ziemię, a ja zostałem wygnańcem. Teraz, wiele lat później, stałem na tej samej plaży i patrzyłem, jak cztery statki przybijają do brzegu.

Przyplłynęły z północy, a wszystko, co stamtąd przybywa, zwiastuje złe wieści. Północ to mróz i lód, Norwegowie i Szkoci. To wrogowie, a ja miałem ich wystarczająco wielu, albowiem przybyłem do Northumbrii odzyskać Bebbanburg. Przybyłem zabić swojego kuzyna, który przywłaszczył sobie to, co należało do mnie. Przybyłem odzyskać dom.

Bebbanburg leży na południu. Z miejsca, w którym stały nasze konie, nie dostrzegalem wałów obronnych, bo wydmy były tu za wysokie, widziałem jednak dym unoszący się znad palenisk, niesiony na zachód przez gwałtowny wiatr. Jego nitki sunęły w głąb lądu, mieszając się z niskimi szarymi chmurami mknącymi po niebie w stronę ciemnych wzgórz Northumbrii.

Dął porywisty wiatr. Piaszczyste równiny rozciągające się ku Lindisfarenie rozbrzmiewały hukiem białych grzywaczy, które pędziły w stronę brzegu. Nieco dalej fale były spienione i niespokojne. Panował przenikliwy chłód. W Brytanii może nastąpiło już lato, ale na wybrzeżu Northumbrii zima trwała w najlepsze i byłem rad, że mam na grzbiecie pelerynę z niedźwiedziego futra.

– Kiepski dzień dla żeglarzy! – zawołał do mnie Berg. Był służącym pode mną młodzieńcem, norweskim wytrawnym wojownikiem. Przez ostatni rok włosy jeszcze mu urosły i teraz wystawały spod otoku hełmu niczym imponujący koński ogon.

Raz widziałem, jak Sas pochwycił jakiegoś mężczyznę za włosy, ściągnął go z siodła i przeszył włócznią, kiedy ten leżał na ziemi.

– Powinieneś ściąć kudły – powiedziałem mu.

– Zwiążuję je przed walką! – odkrzyknął i skinął głową w stronę morza. – Rozbiją się! Są zbyt blisko brzegu!

Cztery statki płynęły wzdłuż wybrzeża, starając się utrzymać na morzu. Wiatr próbował zepchnąć je na ląd, uwięzić na mieliźnie, unieruchomić i pozwolić, by zgniły, lecz wiosłarze pracowali ile sił, a sternicy usiłowali odwrócić łodzie od fal przyboju. Grzywacze rozбивały się o dzioby i zalewały pokłady białą pianą. Półwiatr był zbyt silny, by podciągnąć jardy płótna żaglowego, tak więc ciężkie żagle leżały zwinięte na pokładach.

– Co to za jedni? – zapytał mój syn i wbił pięty w końskie boki. Podmuchy targały jego peleryną, szarpały końską grzywą i ogonem.

- Niby skąd mam to wiedzieć? – odparłem.
- Nie widziałeś ich wcześniej?
- Nigdy.

Znałem większość statków, które podpływały do wybrzeży Northumbrii, ale te cztery widziałem pierwszy raz. Nie były to łodzie handlowe, miały bowiem wysokie dzioby i niskie burty łodzi wojennych. Umieszczone na dziobnicach głowy bestii świadczyły o tym, że płyną nimi poganie. Były to duże łodzie. Zgadywałem, że każda z nich może pomieścić czterdziestu-pięćdziesięciu ludzi, którzy wściekle wiosłując, zmagali się ze wzburzonym morzem i przejmującym wiatrem. Zaczynał się przyływ, a to znaczyło, że silny prąd płynął teraz na północ, podczas gdy łodzie parły na południe. Smocze łby na dziobnicach ginęły w mgiełce drobnych kropelek, gdy rozjuszony fale nacierały na kadłuby. Patrzyłem, jak najbliższa łódź wznosi się na fali i do połowy zapada w lodowatych wodach uderzających w dziobową część kadłuba. Czy ich załogi wiedziały o płytkim kanale, który skręcał za Lindisfareną, oferując schronienie? Był on doskonale widoczny w czasie odpływu, lecz teraz, gdy poziom smaganych wiatrem wód podnosił się gwałtownie, owo przejście niknęło pośród skłębionych, spienionych fal. I tak cztery łodzie, nieświadome jego istnienia, przepłynęły obok wejścia do kanału, szukając bezpiecznego miejsca, w którym mogłyby zakotwiczyć.

Płynęły do Bebbanburga.

Zawróciłem konia na południe i powiodłem swoich sześćdziesięciu wojów wzdłuż plaży. Wiatr sypał mi w oczy piaskiem.

Nie wiedziałem, kim byli ci ludzie, lecz wiedziałem, dokąd zmierzają ich łodzie. Płynęły do Bebbanburga. Pomyślałem, że właśnie życie stało się trudniejsze.

Dotarcie do kanału Bebbanburga zabrało nam krótką chwilę. Fale rozбивały się na plaży i kotłujące, wpływały do wylotu przystani, wypełniając przesmyk skłębioną szarą pianą. Przesmyk nie był szeroki, jako dziecko często go przepływałem, choć nigdy w czasie odpływu. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczy chłopca, który utonął, kiedy silny prąd porwał go z kanału. Chłopak miał na imię Eglaf i kiedy umarł, liczył sobie sześć-siedem wiosen. Był synem księdza, jego jedynym synem. Dziwne, jak imiona i twarze z dalekiej przeszłości wracają do nas po latach. Eglaf był niskim, drobnym dzieciakiem, ciemnowłosym i zabawnym. Lubilem go. Mój starszy brat rzucił mu wyzwanie, żeby przepłynął kanał, i pamiętam, jak zanosił się od śmiechu, kiedy Eglaf zniknął w kipieli ciemnej wody i białych grzywaczy. Gdy się popłakałem, dzielił mnie po głowie. „Był słaby” – powiedział.

Ach, jakże pogardzaliśmy słabością! Tylko kobiety i księża mogli sobie na nią pozwolić. No i może bardowie. Biedny Eglaf umarł, bo chciał uchodzić za nieustraszonego, a tak naprawdę okazał się głupcem.

– Eglaf – wypowiedziałem na głos jego imię, kiedy galopowaliśmy po plaży.

– Co?! – krzyknął mój syn.

– Eglaf – powtórzyłem, choć nie kwapiłem się z wyjaśnieniem.

Wierzę, że ludzie żyją tak długo, jak długo pamiętamy ich imiona. Nie wiem, jak to możliwe. Czy są duchami niesionymi wiatrem niczym chmury, czy może żyją w zaświatach. Eglaf nie mógł pójść do Walhalli, nie zginął w bitwie, a poza tym był chrześcijaninem, tak więc musiał pójść do nieba, przez co jeszcze bardziej mu współczuję. Chrześcijanie opowiadają, że po śmierci przez całą wieczność śpiewają hymny pochwalne dla swego ukrzyżowanego boga. Przez całą wieczność! Po wsze czasy! Jakież bóg chce, by sławiono go po wsze czasy? To przypomniało mi o tanie Barwulfie, Sasie zachodnim, który opłacił czterech harfistów, by śpiewali pieśni o jego bojowych dokonaniach, nad wyraz marnych. Barwulf był grubą, samolubną, chciwą świnią, chciał jednak, by jego imię sławiono w pieśniach. Wyobrażałem sobie chrześcijańskiego boga jako spasionego, chmurnego tana, który siedzi zadumany w swej biesiadnej hali i słucha pachółków kadzących mu opowieściami o tym, jaki jest wielki.

– Zawracają! – zawołał mój syn, wrywając mnie z zamyślenia.

Gdy spojrzałem w lewo, zobaczyłem, że pierwsza łódź skręca w stronę kanału. Była to prosta droga, choć niedoświadczonego żeglarza mogły zwieść silne przybrzeżne prądy pływowe, ten jednak miał dość wprawy, by spodziewać się niebezpieczeństwa, i pewną ręką wprowadził łódź do przesmyku.

– Policz ludzi na pokładzie – przykazałem Bergowi.

Zatrzymaliśmy konie na północnym brzegu kanału, gdzie piasek upstrzony był ciemnymi morskoczynami, muszlami i zbielełymi od słońca patykami.

– Co to za jedni? – zapytał Rorik. Był ledwie chłopcem, moim nowym sługą.

– Pewno Norwegowie – odparłem. – Jak ty.

Zabiłem ojca Rorika, a jego samego ranilem w paskudnej bitwie, dzięki której przegnaliśmy pogan z Mercji. Miałem wyrzuty sumienia, że zraniłem dziecko – Rorik miał ledwie dziewięć lat, kiedy wraz z nim w niego Żądło Osy – i wiedziony poczuciem winy przygarnąłem go, tak jak lata temu Ragnar Starszy przygarnął mnie. Lewe ramię Rorika zagoiło się, choć nigdy nie będzie tak silne jak prawe, jednak chłopak był w stanie utrzymać tarczę i zdawał się szczęśliwy. Lubilem go.

– Norwegowie! – powtórzył radośnie.

– Tak sędzę – przyznałem.

Nie miałem pewności, ale było w tych łodziach coś, co sugerowało, że nie należą do Duńczyków. Zatknięte na dziobnicach głowy bestii były bardziej okazałe, a krótkie maszty znajdowały się bliżej rufy niż te, które widywałem na duńskich łodziach.

– Nie wchodzić za daleko! – krzyknąłem do Berga. Jego koń stał po pęciny w skłębionych płycznach.

Wody przyływu przelewały się przez kanał, wiatr smagał spienione białą fale, ja jednak patrzyłem na drugi brzeg oddalony o pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt jardów. Był tam wąski pas piasku, który niebawem miał zniknąć pod wodą, i ciemne skały sięgające wysokiego muru. Ów kamienny mur, jak wiele innych rzeczy w Bebbanburgu, wzniesiono po śmierci mojego ojca, a w samym jego środku znajdowała się Morska Brama. Lata temu mój stryj w obawie, że go najadę, zapieczętował zarówno Niską,



jak i Wysoką Bramę, razem tworzące główne wejście do fortecy, i wybudował Morską Bramę, do której można było dostać się jedynie na łodzi albo ścieżką biegnącą wzdłuż plaży, pod wałami od strony morza. Z czasem jego obawy osłabły, a ponieważ zaopatrywanie Bebbanburga przez Morską Bramę było równie niedogodne co czasochłonne, ponownie otworzył dwie południowe bramy. Za Morską Bramą stroma ścieżka pięła się ku kolejnej furcie umieszczonej w drewnianej palisadzie otaczającej długi skalny szczyt, na którym zbudowano Bebbanburg.

Na platformie za ostrokołem gromadzili się ludzie. Machali, jednak nie do nas, lecz do nadpływających łodzi, i zdawało mi się, że słyszę, jak wiwatują, choć może słuch mnie zwodził.

Wzrok mnie jednak nie mylił, gdy zobaczyłem włócznie ciśniętą przez jednego z mężczyzn stojących na palisadzie. Patrzyłem, jak leci – ciemny kształt na tle zaciągniętego chmurami nieba. Na krótką chwilę zawisała w powietrzu i niczym pikujący sokół runęła w dół, by utkwić w płyciźnie, cztery albo pięć kroków od konia, którego dosiadał Berg.

– Weź ją – nakazałem Bergowi.

Teraz wyraźnie słyszałem niosące się od strony wałów gwizdy i śmiech. Włócznia nie trafiła wprawdzie do celu, ale sam rzut zasługiwał na uznanie. Za nią nadleciały dwie kolejne, które z chłupotem utkwily w samym środku kanału. Chwilę później Rorik podał mi pierwszą z nich.

– Trzymaj ostrze nisko – powiedziałem.

– Nisko?

– Blisko ziemi. – Zsiadłem z konia, podciągnąłem ciężką kolczugę, rozsnurowałem portki i ustawiłem się, jak

należy. – Nie ruszaj – przykazałem Rorikowi, a kiedy miałem pewność, że ludzie na dziobie pierwszego statku widzą wszystko jak na dłoni, naszczałem na grot. Mój syn zachichotał, a Rorik parsknął śmiechem. – A teraz daj mi ją – zwróciłem się do chłopaka i wyjąłem mu z dłoni jesionowe drzewce. Czekałem. Pierwsza łódź wpływała właśnie do kanału, fale rozbijały się o kadłub, a wioślarze napierali na wiosła. Osadzony na dziobnicy smoczy łeb z otwartą paszczą i gniewnym spojrzeniem wznosił się nad spienioną wodą. Zadanie nie było proste, a silny wiatr jeszcze bardziej je utrudniał, podobnie jak niedźwiedzia skóra, która ciążyła mi na ramionach, nie miałem jednak czasu mocować się z jej kłamrami. – To klątwa Odyna! – wrzasnąłem w stronę łodzi.

Po tych słowach cisnąłem włócznią.

Dwadzieścia kroków.

Oszczane ostrze wbiło się dokładnie tam, gdzie chciałem. Utkwiło w oku smoka, a drzewce kołysały się, gdy łódź przepływała obok nas niesiona przyrywem ku spokojniejszemu wodom płytkiej przystani, osłoniętej od wzburzonego morza skałą, na której stała forteca.

Moja forteca. Bebbanburg.

Bebbanburg.

Od dnia, w którym mi go skradziono, marzyłem o odzyskaniu Bebbanburga. Mój stryj był złodziejem, a teraz wielkim fortem władał jego syn, który miał czelność nazywać siebie Uhtredem. Mówiono, że fortecę można zdobyć jedynie poprzez zdradę albo morząc jej mieszkańców gładem. Była ogromna, zbudowano ją na wielkiej skale, która

mogłaby uchodzić za wyspę, z ładu prowadził do niej jeden wąski trakt. I należała do mnie.

Raz byłem bliski odzyskania fortecy. Przeprowadziłem swoich ludzi przez Niską Bramę, ale wieże Wysokiej Bramy zostały zamknięte w ostatniej chwili, i tak potężny fort nad brzegiem wzburzonego morza nadal znajdował się w rękach mojego kuzyna. Nad twierdzą powiewał jego sztandar z głową wilka, a jego ludzie szydzili z nas, kiedy odjeżdżaliśmy, podczas gdy cztery łodzie wpływały do kanału, by szukać schronienia w płytkiej przystani.

– Stu pięćdziesięciu ludzi – rzekł Berg i dodał: – Tak sądzę.

– A wśród nich kobiety i dzieci – zauważył mój syn.

– A to znaczy, że przybyli, żeby tu zostać – mruknąłem. – Kimkolwiek są.

Minęliśmy północny skraj przystani, gdzie plażę spowiadał dym z ognisk, na których podwładni mojego kuzyna wędzili śledzie i gotowali morską wodę, by otrzymać sól. Ludzie ci kulili się teraz w chatynkach pobudowanych na brzegu od strony ładu. Obawiali się nas i nowo przybyłych łodzi, których załogi rzucały kamienie kotwiczne pośród kołysanych wiatrem łódek rybackich. W jednej z krytych darni chat rozszczekał się pies, zaraz jednak został uciszony. Pognałem konia między dwiema chatkami i dalej w górę wznoszącego się za nimi wzgórza. Kozy rozbiegły się na nasz widok, a pasterka, mała dziewczynka, ledwie pięcio- czy sześćioletnia, pisnęła i ukryła twarz w dłoniach. Zatrzymałem się na szczycie niskiego wzgórza i patrzyłem, jak załogi czterech łodzi schodzą z pokładów, niosąc na ramionach ciężkie toboły.

– Moglibyśmy ich wyróżnić, kiedy wyjdą na brzeg – zaproponował mój syn.

– Teraz nie możemy – stwierdziłem i wskazałem na Niską Bramę grodzącą wąski przesmyk prowadzący do fortu.

Zza zdobionego czaszkami łuku bramnego wysypali się konni, którzy galopowali w stronę przystani.

Berg zachichotał i wycelował palec w najbliższy statek.

– Twoja włócznia, panie, nadal tam jest!

– To był nader fortunny rzut – orzekł mój syn.

– Nieprawda – odparł z dezaprobatą Berg. – Sam Odyn poprowadził włócznię do celu. – Był pobożnym młodzieńcem.

Konni, miast powieść nowo przybyłych do twierdzy na skale, kierowali ich ku skupisku marnych chatynek. Załogi statków porzuciły toboły na brzegu i poczęły znosić na plażę pęki włóczni, stopy tarcz, toporów i mieczy. Kobiety wносиły na brzeg dzieci. Słyszeliśmy niesione wiatrem głosy i śmiech. Nowo przybyli najwyraźniej zamierzali tu pozostać i na znak, że ziemia należy teraz do nich, jeden z mężczyzn umieścił na kamienistej plaży targaną wiatrem szarą flagę.

– Widzicie, co na niej jest? – zapytałem.

– Smocza głowa – stwierdził Berg.

– Kto ma sztandar z głową smoka? – dopytywał mój syn. Wzruszyłem ramionami.

– Nikt, kogo bym znał.

– Chciałbym zobaczyć smoka – rzekł tęsknie Berg.

– To byłaby ostatnia rzecz, jaką byś zobaczył – zauważył mój syn.

Nie wiem, czy istnieją smoki. Nigdy żadnego nie widziałem. Ojciec mawiał, że mieszkają na wzgórzach i żywią się

bydłem i owcami, ale Beocca, który był jednym z księży w służbie mojego ojca i który nauczał mnie w dzieciństwie, twierdził, że wszystkie smoki śpią głęboko pod ziemią.

– To diabelskie stworzenia – mówił. – Chowają się głęboko w ziemi, czekając na koniec świata. A kiedy niebiański róg ogłosi powrót Chrystusa, wypadną na świat niczym demony! Będą walczyć! Ich skrzydła przesłonią słońce, ich oddech spopieli ziemię, a sprawiedliwi spłoną w ich ogniu!

– Czyli wszyscy umrzemy?

– Nie, nie, nie! Staniemy z nimi do walki!

– Ale jak walczyć ze smokiem? – pytałem go.

– Modlitwą, chłopcze, modlitwą.

– Czyli wszyscy umrzemy – odparłem, na co on zdzielił mnie w głowę.

A teraz smocze nasienie przybyło do Bebbanburga na czterech łodziach. Mój kuzyn wiedział, że został zaatakowany. Przez lata siedział bezpieczny, ukrywając się za murami niezdobyczej twierdzy i za plecami królów Northumbrii. Królowie ci byli moimi wrogami. Żeby zaatakować Bebbanburg, musiałem mieczem wyrąbywać sobie drogę przez Northumbrię i pokonać armie Duńczyków i Norwegów, którzy zgromadzili się, by strzec swoich ziem. Lecz teraz królem Eoferwicu był mój zięć, moja córka była jego królową, a poganie z Northumbrii byli moimi przyjaciółmi, tak więc mogłem spokojnie jechać od mercyjskiej granicy aż do murów Bebbanburga. Od miesiąca korzystałem z tej swobody, jeździłem po pastwiskach należących do mojego kuzyna, plądrowałem jego osady, zabijałem zaprzysiężonych mu ludzi, kradłem jego bydło i paradowałem pod murami Bebbanburga. Mój kuzyn nie wyjechał, by stanąć

ze mną twarzą w twarz. Wolął kryć się za umocnieniami, a teraz powiększał swoją armię. Ludzie, którzy wynieśli na brzeg swoje tarcze i broń, musieli zostać najęci do obrony Bebbanburga. Słyszałem pogłoski, że mój kuzyn był gotów zapłacić im w złocie, my zaś wypatrywaliśmy ich przybycia. I oto przybyli.

– Jest nas więcej – zauważył mój syn.

Na wzgórzach na zachodzie miałem blisko dwustu ludzi, gdyby więc doszło do walki, mielibyśmy przewagę nad nowo przybyłymi, ale nie w sytuacji, gdyby mój kuzyn posłał przeciwko nam wojowników stacjonujących wewnątrz twierdzy. Dowodził teraz ponad czterema setkami włóczników i życie w istocie stało się trudniejsze.

– Wyjedziemy im na spotkanie – stwierdziłem.

– Jak to? – zdumiał się Berg. Tego dnia było nas ledwie sześćdziesięciu, mniej niż połowa wrogiego oddziału.

– Powinniśmy wiedzieć, co to za jedni – odparłem. – Zanim ich zabijemy. Tak nakazuje uprzejmość. – Wskazałem na wykoślawione przez wiatr drzewo. – Roriku! – krzyknąłem na służącego. – Odrąb gałąź tego grabu i trzymaj nad głową jak sztandar. – Podniosłem głos, tak by wszyscy moi ludzie mnie usłyszeli. – Odwróćcie tarcze dołem do góry!

Zaczekałem, aż Rorik zacznie wymachiwać sękatą gałęzią niczym symbolem pojednania, a moi ludzie niezdarnie obróćą tarcze z namalowanymi na nich wilczymi łbami, i dopiero powiodłem Tintrega, swojego karego wierzchowca, w dół zbocza. Nie jechaliśmy szybko. Chciałem, by nowo przybyli wiedzieli, że mamy pokojowe zamiary.

Gdy nas zobaczyli, wyszli nam na spotkanie. Tuzin mężczyzn eskortowanych przez konnych mojego kuzyna

wyległ na pastwisko, na którym kozy wieśniaków skubały osty. Na czele jeźdźców jechał Waldhere, człowiek, który dowodził oddziałami stacjonującymi za murami twierdzy i którego poznałem ledwie dwa tygodnie temu. Przybył do mojego obozu na wzgórzach z garstką zbrojnych, gałązką symbolizującą rozejm i zuchwałym żądaniem, byśmy opuścili ziemie mojego kuzyna, nim zostaniemy zabici. Wzgardziłem jego propozycją i zlekceważyłem Waldhere'a, wiedziałem jednak, że jest niebezpiecznym, doświadczonym wojownikiem, zaprawionym w licznych bojach przeciwko bandom Szkotów. On również był odziany w pelerynę ze skóry niedźwiedzia, a na lewym biodrze miał zawieszony ciężki miecz. Jego płaską twarz okalał żelazny hełm zwieńczony orlim szponem. Krótką brodę miał siwą, oczy posępne, a jego usta przywodziły na myśl szerokie cięcie, jakby nigdy się nie uśmiechał. Na tarczy, podobnie jak ja, miał wymalowany łeb szarego wilka. Był to symbol Bebbanburga, którego nigdy nie porzuciłem. Waldhere uniósł dłoń odzianą w rękawicę, by zatrzymać jadących za nim mężczyzn, a sam podjechał ku mnie.

– Przybyłeś się poddać? – zapytał.

– Zapomniałem, jak cię zwa – odparłem.

– Większość ludzi sra dupą – warknął – a ty robisz to gębą.

– Ty zaś wyszedłeś na świat z matczynego tyłka – odgryzłem się – i nadal cuchniesz jej gównem.

Taka wymiana zniewag nie była niczym nowym. Człowiek stający naprzeciw wroga musi obrzucić go obelgami. Lżymy się nawzajem, a potem walczymy, choć wątpilem,

by któryś z nas dobył dziś miecza. Wciąż jednak musieliśmy udawać.

- Dwie minuty - zagroził Waldhere - potem was zaatakujemy.

- Przecież przybywamy w pokoju. - Mówiąc to, wskazałem gałąź.

- Policzę do dwustu - odparł Waldhere.

- Jak, skoro masz tylko dziesięć palców? - zakpił mój syn, na co moi ludzie parsknęli śmiechem.

- Kiedy doliczę do dwustu - warknął Waldhere - wetknę ci tę twoją gałąź głęboko do dupy.

- A ty coś za jeden? - zwróciłem się do mężczyzny, który wszedł na wzgórze, by dołączyć do Waldhere'a. Był wysoki i blady, z gęstą czupryną żółtych włosów, które zaczesane do tyłu opadały mu na plecy. Strój miał bogaty, jego szyję zdobił gruby złoty łańcuch, a ramiona złote bransolety. Klamra jego pasa również była ze złota, podobnie jak jelec miecza, który nosił u pasa. Zgadywałem, że liczy sobie około trzydziestu wiosen. Był barczysty, miał pociągłą twarz, jasne oczy i wytatuowane na policzkach smocze łby. - Zdradź mi swoje imię - zażądałem.

- Nie odpowiadaj! - warknął Waldhere. Posługiwał się mową Anglów, choć zadałem pytanie w języku Duńczyków.

- Bergu - rzekłem, nie odrywając oczu od nowo przybyłego - jeśli ten gównojad jeszcze raz wejdzie mi w słowo, uznam, że złamał rozejm, i będziesz mógł go zabić.

- Tak, panie.

Waldhere nachmurzył się, ale nic nie odrzekł. Było nas więcej, jednak z każdą chwilą na pastwisko ściągali



kolejni przybysze uzbrojeni w tarcze i różną broń i wiedziałem, że niebawem to oni będą mieli przewagę liczebną.

– A więc coś ty za jeden? – spytałem ponownie.

– Jestem Einar Egilson – odparł z dumą. – Zwiąż mnie Einarem Białym.

– Jesteś Norwegiem?

– Tak.

– Ja jestem Uhtred z Bebbanburga – rzekłem. – I mam wiele imion. Ale najbardziej dumny jestem z Uhtredaerwe, co znaczy Uhtred Niegodziwy.

– Słyszałem o tobie – powiedział.

– Ty słyszałeś o mnie, ale ja nie słyszałem o tobie! Dlatego przybyłeś? Myślisz, że rozsławisz swoje imię, jeśli mnie zabijesz?

– Nie inaczej – przyznał.

– A jeśli to ja zabiję ciebie, Einarze Egilsonie, czy przyda mi to sławy? – Pokręciłem głową, sam odpowiadając sobie na to pytanie. – Kto będzie po tobie płakał? Kto będzie o tobie pamiętał? – Splunąłem w stronę Waldhere'a. – Ci ludzie zapłacili ci w złocie, żebyś mnie zabił. Wiesz dlaczego?

– Powiedz mi – odrzekł.

– Bo próbują mnie zabić, odkąd byłem małym chłopcem, i wciąż zawodzą. Wiecznie zawodzą. A wiesz, czemu tak się dzieje?

– Powiedz mi – powtórzył.

– Bo ciąży na nich klątwa – odparłem. – Bo czczą ukrzyżowanego boga chrześcijan, a on ich nie ochroni. Pogardzają naszymi bogami. – Dostrzegłem kościany młot, który Einar nosił na szyi. – Ale dawno temu, Einarze Egilsonie,

obłożyłem ich klątwą Odyna i sprowadziłem na nich gniew Thora. A ty przyjmiesz ich splugawione złoto?

– Złoto to złoto – skwitował Einar.

– Teraz rzuciłem tę samą klątwę na twoją łódź – rzekłem.

Pokiwał głową i dotknął białego młota, ale nic nie powiedział.

– Zabiję cię – ciągnąłem – albo dołączysz do nas. Nie będę próbował przekupić cię złotem, ale zaproponuję ci coś lepszego. Twoje życie. Walcz dla niego – strzyknąłem śliną w stronę Waldhere'a – a zginiesz. Walcz dla mnie, a będziesz żył.

Einar milczał, wpatrując się we mnie z powagą. Nie byłem pewien, czy Waldhere rozumiał, o czym rozprawiamy, ale i nie musiał. Dobrze wiedział, że mówimy źle o jego panu.

– Dość! – warknął.

– Cała Northumbria nienawidzi tych ludzi. – Puściłem mimo uszu słowa Waldhere'a i nadal przemawiałem do Einara: – A ty chcesz z nimi zginąć? Jeśli tak, to wiedz, że weźmiemy złoto, które jest złotem i które nie będzie twoje. Będzie należeć do mnie. – Spojrzałem na Waldhere'a. – Skończyłeś liczyć?

Nie odpowiedział. Miał nadzieję, że dołączy do niego więcej ludzi, dość, by nas pokonać, ale nasze siły były wyrównane, nie chciał więc wszczynać walki, nie będąc pewny zwycięstwa.

– Zmów modlitwy – zwróciłem się do niego – bo bliski jest dzień twojej śmierci. – Odgryzłem kawałek paznokcia i pstryknięciem posłałem go w jego stronę. Waldhere uczynił znak krzyża, podczas gdy Einar wyglądał na

zmartwionego. – Jeśli macie odwagę – ciągnąłem – będę czekał na was jutro w Aetgefrin.

Kolejny raz pstryknąłem paznokciem na znak, że klątwa została rzucona, i wraz ze swoimi ludźmi odjechałem na zachód.

Gdy człowiek nie może walczyć, powinien rzucać klątwy. Bogowie lubią wiedzieć, że są potrzebni.

Jechaliśmy na zachód w zapadającym zmierzchu. Niebo było zaciągnięte chmurami, a ziemia mokra od deszczu. Nie spieszyliśmy się. Wiedziałem, że Waldhere nie ruszy naszym śladem, a wątpiłem, by mój kuzyn przystał na bitwę pod Aetgefrin. Pomyślałem, że będzie walczył, teraz, kiedy do jego drużynników dołączyli zaprawieni w bojach wojowie Einara, ale sam wybierze miejsce potyczki.

Podążaliśmy doliną, która powoli pięła się ku wyższym wzgórzom. Był to bogaty kraj, kraj pasterzy i owiec, lecz teraz pastwiska opustoszały. Nieliczne osady, które mijaliśmy po drodze, były ciemne, a znad dymników nie unosiły się smużki dymu. Złupiliśmy tę ziemię. Prowadziłem swą niewielką armię na północ i miesiącami nękałiśmy podwładnych mojego kuzyna. Rozpędzaliśmy stada, kradliśmy bydło, paliliśmy spichlerze i łodzie rybackie zacumowane w niewielkich przystaniach na północ i na południe od fortecy. Nie zabijaliśmy ludzi, z wyjątkiem tych, którzy nosili na piersi herb mojego kuzyna, a także nielicznych, którzy stawiali opór, i nie braliśmy niewolnych. Okazywali mi litość, albowiem pewnego dnia ludzie ci będą moimi

podwładnymi. Zamiast tego wysyłaliśmy ich, by szukali schronienia w Bebbanburgu, gdzie mój kuzyn będzie musiał ich wykarmić, chociaż okradaliśmy go z plonów, które wydała jego ziemia.

– Einar Biały? – zapytał mój syn.

– W życiu o nim nie słyszałem – odparłem.

– Ja słyszałem o Einarze – wtrącił Berg. – To Norweg, który podążył za Grimdahlem, gdy ten wypłynął na rzeki białej ziemi.

Biała ziemia była rozległą krainą, leżącą gdzieś za ojczyzną Duńczyków i Norwegów, krainą długich zim, białych drzew, białych równin i ciemnego nieba. Mówiono, że żyją tam olbrzymy i porośnięci futrem ludzie o szponach, które mogą rozerwać człowieka od pępka aż po szyję.

– Biała ziemia – powtórzył mój syn. – Dlatego zwą go Białym?

– Dlatego że spuszcza ze swoich wrogów całą krew – wyjaśnił Berg.

Słyszając to, przychnąłem kpiarsko, ale i tak dotknąłem młota zawieszzonego na szyi.

– Dobry jest? – dopytywał mój syn.

– To Norweg – odparł z dumą Berg – więc oczywiście, że jest wielkim wojownikiem! – Urwał. – Ale słyszałem, że ma też inny przydomek.

– Jaki?

– Podobno zwą go Einarem Pechowym.

– Pechowym? – zapytałem.

Berg wzruszył ramionami.

– Jego statki osiadają na mieliznach, a żony umierają. – Dotknął zawieszzonego na szyi młota, by uchronić się

od wspomnianych nieszczęść. – Ale słynie też z tego, że wygrywa bitwy!

Pechowy czy nie – pomyślałem – jego stu pięćdziesięciu wojowników z Północy stanowiło znaczne wsparcie dla obrońców Bebbanburga, tak znaczne, że mój kuzyn nie chciał wpuścić ich za mury fortecy w obawie, że zwrócą się przeciwko niemu i ogłoszą się nowymi panami Bebbanburga. Miast tego zakwaterował ich w wiosce i nie wątpiłem, że wkrótce ofiaruje im konie i pośle ich, by nękali moich ludzi. Wojownicy Einara nie przybyli tu, by bronić bram Bebbanburga, lecz po to, by trzymać moje oddziały z dala od twierdzy.

– Wkrótce się zjawią – mruknąłem.

– Kto?

– Waldhere i Einar – odparłem. – Może nie jutro, ale niebawem.

Mój kuzyn chciał zakończyć to najszybciej jak się da. Pragnął mojej śmierci. Złoto, którym obwieszony był Einar, świadczyło o tym, ile mój kuzyn zapłacił, by sprowadzić tu wojowników, którzy mieli mnie zabić, a im dłużej tu zabawią, tym więcej będą go kosztować. Jeśli nie przybędą jutro – pomyślałem – to najdalej w ciągu tygodnia.

– Tam, panie! – zawołał Berg, wskazując na północ.

Na północnym wzgórzu dostrzegłem samotnego jeźdźca.

Stał bez ruchu z włócznią, której ostrze skierowane było w dół. Obserwował nas przez chwilę, po czym zawrócił konia i zniknął za odległym szczytem.

– Dziś to już trzeci – zauważył mój syn.

– Wczoraj widzieliśmy dwóch – rzekł Rorik.

– Powinniśmy zabić jednego czy dwóch – rzucił mściwie Berg.

– Po co? – spytałem. – Chcę, żeby mój kuzyn wiedział, gdzie jesteśmy. Chcę, by wszedł prosto na nasze włócznie.

Konni byli zwiadowcami i zgadywałem, że mój kuzyn posyłał ich, żeby mieli nas na oku. Musiałem przyznać, że są naprawdę dobrzy. Od kilku dni formowali wokół nas luźny kordon, który choć przez większość czasu pozostawał niewidoczny, nie pozwalał o sobie zapomnieć. Ostatni raz tego dnia zobaczyłem konnego, gdy słońce staczało się za wzgórze na zachodzie. Czerwone jak krew promienie odbiły się od ostrza włóczni, a zaraz potem jeździec zniknął pośród cieni w drodze do Bebbanburga.

– Dwadzieścia sześć sztuk bydła i cztery konie – oświadczył Finan. Podczas gdy ja szydziłem z kuzyna, podjeżdżając pod bramy fortu, Finan grabił i łupił ziemię na południe od Aetgefrin. Żywy inwentarz pędzono drogą dla bydła do Dunholmu. – Zajęli się nimi Erlig i czterech ludzi – oświadczył. – Na południu widzieliśmy kilku zwiadowców.

– My widzieliśmy ich na północy i na wschodzie – odparłem. – Dobrzy są – dodałem niechętnie.

– A teraz ma dodatkowych stu pięćdziesięciu ludzi? – spytał z powątpiewaniem Finan.

Przytaknąłem.

– Norwegów, najemnych włóczników dowodzonych przez niejakiego Einara Białego.

– Jeszcze jeden do zabicia – burknął Finan. Był Irlandczykiem, moim starym druhem, zastępcą i człowiekiem, z którym stałem ramię w ramię w niezliczonych murach tarcz. Włosy miał teraz siwe, a twarz pobrużdżoną, ale ja pewnie wyglądałem podobnie.

Starzałem się i chciałem umrzeć spokojną śmiercią w fortecy, która należała do mnie na mocy prawa.

Zgadywałem, że będę potrzebował roku, żeby odbić Bebbanburg. Przez lato, jesień i zimę zniszczę ich zasoby żywności, zabijając albo kradnąc bydło i owce wypasające się na rozległych pastwiskach i zielonych wzgórzach. Niszczylem spichlerze, paliłem stogi siana i posyłałem statki, by niszczyły łodzie rybackie należące do mojego kuzyna. Zmuszałem przerażonych wieśniaków, by szukali schronienia za murami fortecy, tak by miała mało jedzenia, a dużo gąb do wyżywienia. Do wiosny zaczną głodować, a głodujący ludzie są słabi. Umyśliłem więc, że kiedy zaczną jeść szczury, zaatakujemy.

Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Czynimy plany, lecz o naszym losie decydują bogowie i trzy Norny przędące u stóp Yggdrasilu. Zamierzałem osłabić, zagłodzić, a na koniec zabić swojego kuzyna i jego ludzi, lecz *wyrd bið ful āræd*.

Powinienem był o tym pamiętać.

Przeznaczenie jest wszystkim. Miałem nadzieję zwabić kuzyna do doliny na wschód od Aetgefrin i sprawić, by dwa tamtejsze strumienie spłynęły krwią jego i jego ludzi. W Aetgefrin nie było się gdzie schować. Ów fort na szczycie wzgórza zbudowali pradawni ludzie, którzy zamieszkiwali Brytanię na długo przed przybyciem Rzymian. Jego usypane z ziemi wały dawno poszły w rozsypkę, ale płytki rów nadal okalał wysoki szczyt. Nie było tu osady, domów

ani nawet drzew, tylko smagane wiatrem garbate wzgórze – kiepskie miejsce na obozowisko. Nie było tu drewna, a najbliższy strumień znajdował się pół mili dalej, ale mieliśmy stąd doskonały widok. Nikt nie mógł zakraść się tu niezauważony, a gdyby mój kuzyn wysłał przeciwko nam swoich ludzi, zobaczylibyśmy ich z daleka i zajęlibyśmy dogodne miejsca.

On jednak się nie pojawił. Zamiast tego trzy dni po tym, jak spotkałem się z Waldhere'em, ujrzeliśmy nadjeżdżającego od południa samotnego jeźdźca. Był to mały człowieczek na równie małym koniu, odziany w czarną szatę, która łopotiała na wiejącym od morza silnym, lodowatym wietrze. Człowieczek podniósł na nas wzrok i wbił pięty w boki konika, zmuszając go do wspinaczki pod górę.

– To ksiądz – rzucił gorzko Finan – a to znaczy, że chcą gadać, nie walczyć.

– Myślisz, że wysłał go mój kuzyn? – spytałem.

– A któż by inny?

– Czemu więc jedzie od południa?

– To ksiądz. Gdyby nim zakręcić, nie umiałby znaleźć własnego tyłka.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu zwiadowców, ale nikogo nie zobaczyłem. Od dwóch dni nie widzieliśmy żadnego. Ich nieobecność coraz bardziej utwierdzała mnie w przekonaniu, że mój kuzyn coś knuje, dlatego tego dnia udaliśmy się do Bebbanburga, żeby zobaczyć, co takiego zamyśla. Ludzie Einara budowali nową palisadę w poprzek piaszczystego przesmyku prowadzącego do skały, na której stała forteca. Ostrokół miał chronić Norwegów



i stanowią nowy zewnętrzny mur. Mój kuzyn nie wpuścił ich do twierdzy, wznosili więc umocnienia, które będziemy zmuszeni sforsować, nim utworzymy sobie drogę do Niskiej Bramy.

– Łajdak zapadł się pod ziemię – warknął Finan. – Nie zamierza walczyć na odkrytym terenie. Chce, byśmy zginęli pod murami twierdzy.

– Trzema murami – zauważyłem ponuro.

By zdobyć Bebbanburg, musielibyśmy przedrzeć się przez nową palisadę, sforsować umocnienia Niskiej Bramy, a i tak mielibyśmy przed sobą kolejny mur z Wysoką Bramą.

Jednak to nie był koniec złych wieści. Na widok dwóch nowych łodzi zacumowanych w przystani poczułem, że opuszcza mnie nadzieja. Jedna z nich była łodzią bojową, mniejszą niż cztery, których przybycie obserwowaliśmy, ale na niej również powiewał sztandar Einara z namalowaną smoczą głową. Obok niej kołysała się na wodzie pękata łódź handlowa. Ludzie, uwijając się, znosili na brzeg beczki, brodzili w płytkiej wodzie i składowali zapasy na plaży nieopodal Niskiej Bramy.

– Einar przywiózł mi jedzenie – rzuciłem posępnie. Finan milczał. Dobrze wiedział, co czuję: rozpacz. Mój kuzyn miał obecnie więcej ludzi i niewielką flotę, która zaopatrywała go w żywność. – Teraz nie wezmę ich głodem – dodałem. – Nie, kiedy są tu ci dranie.

Tymczasem późnym popołudniem pod gorejącym czerwienią niebem jechał ku nam klecha, najpewniej z chępliwą wiadomością od mojego kuzyna. Był teraz na tyle blisko, że widziałem jego długie czarne włosy, których tłuste kosmyki opadały po obu stronach bladej, przerażonej twarzy

wpatrzonej ku usypanym z ziemi wałom. Pozdrowił nas machnięciem ręki, oczekując, że uczynimy to samo, zapewniając go, że jest tu mile widziany, jednak żaden z moich ludzi nie odwzajemnił gestu. W milczeniu patrzyliśmy, jak jego cherlawy wałach kończy wspinaczkę i przestępuje nad darniowym wałem. Klecha zsiadł z konia i zachwiał się na nogach. Rozejrzał się dookoła i zadrzał na widok tego, co zobaczył. Moich ludzi. Odzianych w kolczugi i skóry, zaprawionych w bojach, zbrojnych w miecze wojowników. Nikt się nie odzywał, wszyscy czekaliśmy, aż wyjaśni nam, co tu robi. W końcu zatrzymał na mnie wzrok i zobaczywszy złoto na mojej szyi i przedramionach, podszedł do mnie i padł na kolana.

– Tyś jest lord Uhtred?

– To ja.

– Nazywam się Eadig, ojciec Eadig. Szukałem cię, panie.

– Mówiłem Waldhere'owi, gdzie może mnie znaleźć – odparłem szorstko.

Eadig spojrział na mnie zdeorientowany.

– Waldhere'owi, panie?

– Jesteś z Bebbanburga?

– Bebbanburga? – Pokręcił głową. – Nie, panie, przybywamy z Eoferwicu.

– Eoferwicu! – Nie byłem w stanie ukryć zdumienia. – My? Ilu was jest? – Spojrzałem na południe, lecz nie zobaczyłem żadnych jeźdźców.

– Wyruszyliśmy z Eoferwicu w pięciu, panie, lecz zostaliśmy zaatakowani.

– I ty jeden uszedłeś z życiem? – spytał oskarżycielsko Finan.

– Pozostali odciągnęli napastników, panie. – Ojciec Eadig zwracał się do mnie, nie do Finana. – Chcieli, bym cię odnalazł. Wiedzieli, że to ważne.

– Kto cię przysyła? – zażądałem odpowiedzi.

– Król Sigtryggr, panie.

Poczułem, jak krew uderza mi do głowy. Przez chwilę nie śmiałem się odezwać, obawiając się tego, co zaraz usłyszę.

– Sigtryggr – rzekłem w końcu, zastanawiając się, jakież to kryzys spowodował, że mój zięć pchnął do mnie posłańca. Obawiałem się o swoją córkę. – Stiorra zaniemogła? – spytałem. – Któreś z dzieci?

– Nie, panie, królowa i dzieci mają się dobrze.

– Więc...?

– Król domaga się twego powrotu, panie – wydusił w końcu klecha, sięgając po ukryty w fałdach szaty pergamin. Podał go mi.

Wyjąłem zwój z jego dłoni, lecz go nie rozwinąłem.

– Dlaczego?

– Sasi zaatakowali, panie. W Northumbrii wybuchła wojna. – Wciąż klęczał, zadzierając głowę. – Król potrzebuje twoich ludzi, panie. I ciebie.

Zakląłem. A zatem Bebbanburg będzie musiał zaczekać. My zaś mieliśmy wyruszyć na południe.